



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

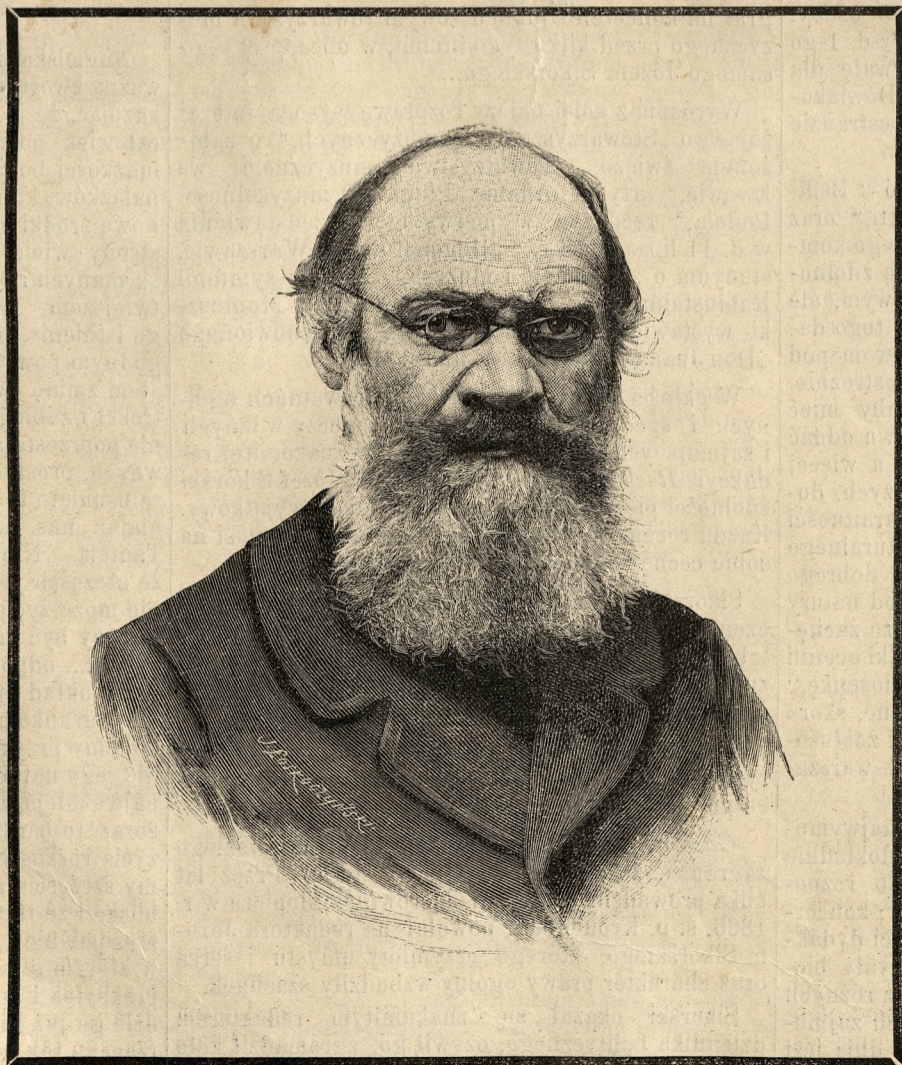
JÓZEF SIKORSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Warszawa straciła jedną z charakterystycznych i wybitnych swoich postaci: po długim żywocie, spędzonym na służbie publicznej, rozstał się z tym światem Józef Sikorski, człowiek wielkiej energii i pracy, szerokiej inicytywy i czynu. Była to indywidualność wybornie przygotowana do walki codziennej z losem, do przezwycięzania wszelkich trudności, spotykanych po drodze; indywidualność, jednym słowem, dzielna i niezłomna, której nie zmódz ani zniechęcić nie było w stanie.

Ś. p. Józef Sikorski wszedł w życie pełen jasnej myśli i niezachwianej wiary w skuteczność i pożytek swej działalności; miał on postanowienie pracy wytknięte z góry—a postanowieniu temu nigdy się nie przeniawierzył.

Ci, co mieli sposobność z bliska przyjrzeć się działalności zgasłego męża, co śledzili ją bacznie przez długi szereg lat i w różnych



Ś. p. JÓZEF SIKORSKI.

okolicznościach, podziwiają jego wytrwałość, inteligencję i potęgę moralną. Urodzony w r. 1813-ym w Warszawie, z pod ubogiej wyszedł strzechy; uczył się w liceum Lindego, w którym skończył cztery klasy. W szkole tej zwrócił uwagę Stefaniego, dzięki muzykalności, jaką od wczesnego okazywał dzieciństwa. Za namową dyrektora konserwatorium Elsnera, zaczął uczęszczać tamże na wykłady popołudniowe, ćwicząc się na fortepianie podczas niedziel i świąt. Kierował zdolnym chłopcem prof. Jaworek, zachęcając go do studyów nad muzyką kościelną. Z zapałem i energią sam nad sobą pracuje, bada harmonję, udziela lekcji w Płocku, po powrocie do Warszawy walczy o byt dla siebie i rodziny—a w tem borykaniu się z dołą i niedołą hartuje się, rozszerza coraz bardziej widnokręgi myśli, wzmacniając do kryształowej siły wolę własną. Do dwudziestego piątego roku życia w domach prywatnych dawał lekcye, następnie założył domowe ognisko i ze zdwojoną energją zabrał się do dalszego udoskonalenia umysłu. Wkrótce wydaje książkę pożyteczną, p. t. „Doręcznik muzyczny.“

Za namową przyjaciela swego, Antoniego Czajkowskiego — jak o tem pisze w „Echu“ (Nr 19) p. Al. Rajchman—Józef Sikorski zaczął pisywać w *Bibliotece Warszawskiej* recenzje muzyczne; w miesięczniku tym umieścił artyku-

ły: *O formie muzycznej, Muzyka domowa* oraz zbiór *Śpiewnika Moniuszki*. Prace odznaczają się gruntownością i trafnym ujęciem przedmiotu. Później, w r. 1857-ym Sikorski założył własne pismo, p. t. *Ruch muzyczny*. Pięć lat istniał ten organ, doskonale prowadzony—Sikorski bowiem popierał prawdziwe talenty, ostro krytykując miernotę i błagę. Pomagali mu w redaktorskiej pracy: Dobrzyński, Krzyżanowski, Kątski, Moniuszko, Nowakowski.

W słowie do czytelnika, zamieszczonem w pierwszym numerze *Ruchu muzycznego* tak się Józef Sikorski serdecznie odzywa: „Serce silniej bić zaczyna, ręka drży od wzruszenia, jakby po raz pierwszy chwyciła za pióro, gdy przychodzi kreślić pierwsze w piśmie niniejszem wyrazy, któremi ma się ono wkupić w życzliwość publiczną, zadowolnić przyjaciół, ciekawość obojętną w sympatyę zamienić, niechęć nawet (a gdzie przedsięwzięcie, któreby jej nie spotkało?) rozbroić. Pismo niniejsze powinno za zasadę przyjąć i przyjmuje istotnie uprawiać muzykę wszechstronnie i patrzeć na nią z zacnego stanowiska, nie zaś zniżać stanowisko do niej... Pod wyrazem *krytyka* nie rozumiemy samych tylko zdań i sądów, choćby najzupełniej wyrozumowanych w recenzjach, rozbiórach i sprawozdaniach; krytyka mieścić się powinna we wszystkim co czytelnikowi podamy w jakiejkolwiek formie, nawet w powiastce i anegdocie, w rozprawach oryginalnych i przyswojonych z obcych języków. Jak żołnierz na straconej poczcie, z wyteżonem okiem i chwytającym echo uchem nad bezpieczeństwem obozu czuwa, tak krytyka nieodstępnie będzie towarzyszem wszelkich naszych działań na niwie piśmienniczej, którą uprawiać mamy. Kogo przejmuje miłość dla muzyki oświecona, kto podziela zasady te, niech nam pomaga; zobowiązania bowiem nasze są wielkie, a siły może nie potemu, choć je całe na usługi przedsięwzięciu naszemu oddajemy. Tak nam dopomóż ty miłości sztuki, której tyle szlachetnych i szczęśliwych chwil życia, zawdzięczamy!”

Od teorii przechodząc do praktyki i wcielając zamiary w czyn, Józef Sikorski daje zaraz recenzję z *Ruchu muzycznego*. Są to już rzeczy, oczywiście, w znacznej części dla nas przebrzmiałe, ale chwila mi interesują ze względu na żyjące jeszcze osoby. I tak w pierwszym zaraz numerze *Ruchu* (z d. 1-go Kwietnia 1857 r.) spotykamy ciepłą pochwałę dla talentu artysty śpiewaka, p. Millera. O p. Dowiakowskiej, występującej po raz pierwszy na estradzie w koncercie Dulekena tak Sikorski pisze:

„Z dwóch odśpiewanych przez nią ustępów: Bellini'ego romansu z „Montecchi i Capuletti,” oraz z arii z opery „Huniad Laszko” węgierskiego kompozytora Erkla, widzimy śpiewaczkę pełną zdolności, obdarzoną pięknym głosem sopranowym, ale mającą wielką skłonność do nadużywania tego daru Bożego, może ulegającą czym namowom pod tym względem. Z głosem oszczędnie i ostrożnie. *Cantabile* p. Dowiakowskiej wielki mogłoby mieć dla słuchacza urok, gdyby tej stronie śpiewu oddać się chciała. Wybiegłość głosu w górę, a więcej jeszcze czystość i miękkość tonów najwyższych, doprowadzą troskliwego ich pielęgnowania i staranności o nabycie rozległej skali, równie jak naturalnego usposobienia do niej. Część przymiotów dobrego śpiewu posiadała już p. Dowiakowska to od natury w darze, to własną pracą. Słuchacze bardzo zachęcającym i pochlebnie przyjęciem śpiewaczki ocenili ją i otrzymali od niej jedną jeszcze piosenkę.” Uwagi krytyka znać dobrze były zrozumiane, skoro ówczesna debiutantka zyskała później tak zasłużoną sławę i taką odegrała w historii opery warszawskiej rolę.

Zawartość *Ruchu muzycznego* świadczy najwymowniej, że Józef Sikorski zdawał sobie dokładnie sprawę z celów przedsięwzięcia i że dzieło rozpoczęte umiał prowadzić. Recenzje z oper, koncertów, przeglądów kompozytów, artykuły treści dydaktycznej, estetycznej i polemicznej, materyały biograficzne i historyczne, korespondencje z różnych okolic kraju, nawet wiersze—oto treść tych zajmujących roczników, których wartość do dziś dnia jest niemała. Charakterystyka np. Chopina, Moniuszki, Stefaniego, Kurpińskiego, Komorowskiego, Beethovena, Halevy'ego, Paganiniego, Schumana i t. d. jest trafna, krótka a prawdziwa.

Szczegóły biograficzne wielkich kompozytorów, zbiór listów Chopina np. i innych mistrzów, nadają *Ruchowi muzycznemu* Sikorskiego cechę wybitną i zmuszają obecnie jeszcze do otwierania roczników, przed czterdziestu laty na światło dzienne wydanym.

Ciekawe jest również takie np. studium Adama Kraszińskiego, p. t. „Lublin literacki, muzyczny i dramatyczny.” Autor tej pracy, dobrze obeznany z dziejami Lublina, kreśli historię oświaty w tym grodzie w sposób wyczerpujący, choć jednostronnie maluje stosunki, panujące tamże po usunięciu Jezuitów.

Drobiazgi, zaczerpnięte z objawów życia umysłowego na początku bieżącego wieku, mogą się nawet przydać przyszłemu historykowi cywilizacji w Polsce. „Z Warszawy delegowano—pisze Krasziński—członka Komisji Oświecenia do wizytowania szkół. Jeden z lubelskich poetów klasycznych, chcąc go ucieść a zarazem pokazać młodzikom wyższość form greckich i rzymskich nad swawolne zaniedbanie powszejszej szkoły, napisał odę bardzo pretensjonalną i śmieszna.

Cenne prace wychodzą w „Ruchu” z pod pióra Maurycego Karasowskiego, którego późniejsza działalność krytyczna chlubnie wyrobiła sobie uznanie.

Dziś kiedy kult Moniuszki rozwinął się powszechnie, kiedy mamy nawet specjalne grono ludzi, złączonych w sekcję Moniuszkowską Towarzystwa muzycznego, dziś charakterystyka, jaką przed kilkudziesięciu laty dał Józef Sikorski nieśmiertelnemu dziełu, które się w d. 1 stycznia 1858 r. na scenie teatru Wielkiego ukazało, zaciekawia istotnie każdego miłośnika muzyki. „Halka” znalazła w Sikorskim wybornego tłumacza; rozbiór tej opery, dokonany przezeń, jest dowodem głębokości umysłu autora, jego przenikliwości i wytwornego smaku artystycznego. Przyszły biograf Moniuszki, jeżeli ma być wyczerpujący, musi uwzględnić uwagi Józefa Sikorskiego, pod pierwszym kreślone wrażeniem, a przecież tak trafne, rozumne i pełne dosadności.

Wyborne także artykuły w *Ruchu muzycznym* (Nr. 7, 10 i 12 z roku 1858) spotykamy o Józefie Wieniawskim, który z tak wielkiem powodzeniem grał na koncercie jubileuszowym towarzystwa muzycznego przed kilku tygodniami, w obecności tego samego Józefa Sikorskiego...

Wyróżnić z kolei należy rozprawę wysoce interesującą o „Stowarzyszeniach muzycznych,” o założonem świeżo „Towarzystwie muzycznym we Lwowie,” artykuł Adama Pługa „O muzykalności Podola,” recenzję z pierwszego przedstawienia w d. 11 lipca 1858 r. „Hugonotów” w Warszawie, studium o „Dramacie i Muzyce,” rozbiór symfonii Rubinsteina, p. t. „Ocean,” opery „Flis” Moniuszki, wystawionej 24 września 1858 r., wznowionej „Don Juana” Mozarta i t. d. i t. d.

W całości i szczegółach, w zapatrywaniach ogólnych i specjalnych, w doborze rzeczy ważnych i zajmujących, jednym słowem — w znakomitej redakcyi *Ruchu muzycznego* wykazał Józef Sikorski zdolności pierwszorzędnej miary i talent wyjątkowy. Każda recenzja, krytyka, czy notatka jego nosi na sobie cechę znawstwa i sumiennosci.

Sikorski dbał o formę i stylswych krytyk, o polszczenie wyrażen cudzoziemskich w teorii muzyki; tak np. pierwszy wprowadził zamiast obcego wyrazu „aliquoty” polskie słowo: *przytony*, doskonale odpowiadające pojęciu, jakie oznacza.

Działalność redaktora *Ruchu muzycznego* spopularyzowała imię Józefa Sikorskiego, którego też wkrótce powołano na inne, szersze jeszcze stanowisko.

Gazeta Polska, po wyjeździe J. I. Kraszewskiego zagranicę, została bez wybitnego steru. Przez lat kilka prowadzili ją różni kierownicy; dopiero w r. 1866. s. p. Kronenberg powołał na redaktora Józefa Sikorskiego, którego przymioty umysłu i serca oraz charakter prawy ogólny wzbudziły szacunek.

Sikorski okazał się znakomitym redaktorem dziennika politycznego, ożywił go, zgromadził koło siebie grono dzielnych współpracowników, którzy do przerwanej chwilowo powrócili pracy.

Przy biurkach redakcyjnych zasiedli tacy ludzie, jak: Dyonizy Henkel, Władysław Bogusławski,

Jabłonowski, Krajewski—wreszcie Henryk Sienkiewicz...

Zaczął się nowy rozwój pisma, obejmującego coraz szerszy zakres i zdobywającego coraz liczniejszy zastęp czytelników. W ciągu lat ośmiu redaktorstwa Józefa Sikorskiego *Gazeta Polska* stała na wysokim poziomie publicystycznym, świecąca jasnym światłem zacnej tendencji i prawych dążeń.

Jednocześnie s. p. Józef Sikorski brał czynny udział w życiu publicznem, gdzie dobre owoce rodziła jego dzielna inicjatywa. Praktykę życia, którą sam przeżył i doświadczył na sobie,—dokładnie pojmował i umiał dla niej wynaleźć zawsze gruntowne racye. On to zainicjował założenie towarzystwa muzycznego w Warszawie, rozszerzył zakres i rozwój spółki jedwabniczej i towarzystwa ogrodniczego, on prowadził do ostatnich czasów drukarnię—i nie ustawał do końca w pracy ducha.

Oprócz wymienionego „Doręcznika,” Sikorski napisał *szkołę* na fortepian i humoreskę beletrystyczną, p. t. „Martwe klawisze.”

Poświęcał się również s. p. Sikorski kompozytce: napisał kantatę do poematu Schillera „Dzwon,” na chór i deklamację; kantatę „Radość” do słów Brodzińskiego, „Mszę,” „Alphare,” chóralną pieśń: „Ponez,” „Rojenia wiosenne,” „Żale sieroty” etc.

Na fortepian skomponował: „Nokturn,” „Obrazek sielski” i „Marsz.” Nie są to rzeczy szerokiego polotu, ale bądź co bądź, rzeczy piękne i napisane ze znajomością istotną tajemnic kompozytce.

To wspomnienie dzielnego człowieka kończymy wyrazem cześci dla charakteru i zasług społecznych s. p. Józefa Sikorskiego, który dał z siebie przykład, jak wiele można dla dobra ogółu zdziałać, jeżeli tylko poczciwe zamiary i chęci poparte zostaną wytrwaniem i wolą żelazną.

A. Dobrowolski.

U DOMOWEGO OGNISKA.

Angielska literatka M-rs Liu Linton, podniosła ważną kwestję szczęścia u domowego ogniska, wykazując, że jest ono szczęściem najwyższem jakie człowiek posiadać może. Wiek nasz przynosząc ludzkości bogate skarby nauki, bogate skarby wynalazków, które ułatwiły prace człowieka i dały mu nowe środki szerszego działania, usunął z drugiej strony wiele tych dobrych, dawnych obyczajów skromnych i prostych, które czyniły nam życie łatwiejszem. Wdzięk spokojnego, cicho wiedzonego istnienia, przestał oddziaływać na większość łagodnym powabem swoim; postęp stawczy się hasłem zmian w układzie życia rodzin wprowadził troski i zabiegi nieznane dawnym czasom, bo ludzie nie poprzestają już, nie umieją poprzestawać na dawnych, prostych i skromnych życia warunkach, które usunęto też na bok i pożądanie używania ogarniając nas, skazuje bardzo wielu na okrutny los Tantala. Niejeden też, niejeden woła z goryczą, że szczęście jest to jedynie myt — że dać go nam nie może życie, czy przecież jest tak w rzeczywistości, czy być tak musi nieodwołalnie?...

Nie!... odpowiada autorka. Stało się to jedynie przez układ życia nie odpowiadający z jednej strony warunkom naszego położenia, z drugiej nie umiemy przygarnąć sobie szczęścia przez zrozumienie jego natury, przez umiłowanie jego warunków najważniejszych. Związki rodzinne rozluźniają się coraz to bardziej, przepadają nam więc najbliższe życia rozkosze, najpewniejsze jego podpory; szukamy szczęścia gdzieś daleko, nie rozumiejąc, że jest blisko i że trzeba tylko umieć je sobie zdobyć przez zrozumienie jego podstaw prawdziwych. Dom, w którym otacza nas rodzina, to szczęścia naszego przybytek i kto nie potrafi go tu znaleźć, nie znajduje go już nigdzie, ugruntowanego tak pewnie, darzącego tak wdzięcznie spokojną, łagodną szczęśliwością, jakiej niełatwo znaleźć wśród świata, który wprawdzie otacza nas tysiącami skarbów drogotnych, lecz zarazem stawia na drodze naszej zapory nie łatwo zdobyć się mogące — próby, które wyra-

biają w nas hart ducha, ale niemniej kosztują drogo, bardzo drogo!...

Szczęście znaleźć się też może wtedy tylko, jeżeli nie utoniemy w małostkach. Jak nie wypielonog chwałę w ogrodzie zagłuszą rośliny szlachetniejsze, tak dzieje się tu z myślą naszą; mikroskopijne błędy otaczających nas osób rosną przed myślą naszą w rzeczy wagi wielkiej i dręcząc się niemi dręczymy innych, tracąc przez to ich przyjaźń, ich życzliwość. Każdy też kto tylko pojmuję naturę prawdziwego szczęścia i szczęście pozyskać sobie pragnie, potrzebuje patrzeć na życie z podnioslejszego punktu istnienia ludzkości.

M-rs Lin Linton kładzie nacisk silny na układ życia regularny, na ład jego umocowany na podstawie posiadanych środków. Niegospodarność matki rodziny, pani domu, wykazuje ona jako winę bardzo wysokiego znaczenia, bo pociąga to za sobą szereg trosk i niedoborów nietylko materyalnych. Gdzie jest brak ładu musi być i brak warunków życia, dających spokój i wygodę, więc rodzina cierpi na tem wiele pod wielu względami i nie może tam być tej harmonii wdzięcznej, która daje nam zadowolenie słodkie. Czas upływa nie przynosząc nam nabytków potrzebnych nietylko w zakresie powszedniej życia strony, bo człowiek nie zajęty jakąś pracą, jakąś myślą, dającą mu kierunek, szczęśliwym być nie może i M-rs Lin Linton wykazuje niepowierzchnie, że opanowuje go wtedy nuda, która mężczy silniej niżeli praca najmóźolniejsza, a obok tego próżniak miotany jest jak liść spadły z drzewa pod wichrem losu i nikt nie wie w którą stronę uniesionym zostanie.

Każda istota ludzka która myśli i czuje, potrzebuje nieodwołalnie pracy, bo jest ona wcieleniem dążeń naszych do pożądanego celu i ten, kto nie pracuje nie ma przed sobą żadnych pragnień, żadnych ideałów, ku którym wyciągałby ramiona i dodać można niemylnie, że nikogo i nie nie kocha. Komu serce goręcej w piersi uderza czy to dla ludzi, czy dla idei, w której widzi postęp szczęścia i dobra ima się pracy gorąco, a nagrodą jego jest nietylko cel osiągnięty, ale niezaznany nigdy ciężar nudów, więc niezaznane nigdy zniechęcenie do życia. Nawet wtedy gdy starość sił ujmuję, człowiek, który nigdy próżniakiem nie był, ma w sobie słodkie to zadowolenie, że kiedyś pracował — ma to uczucie godności osobistej, która mu pozwala nie schylać głowy przed nikim. Szaconek starości nakazywany młodzieży opiera się na tej zasadzie, dzieci i wnuki szanują przeszłość która spełniła swój obowiązek wśród ludzkości — znoila sobie czoła potem gorącym, ale dodać należy, że wiek dojrzały ma też nakazane mu obowiązki względem młodości.

Przykład dobry to powinność, powinność najważniejsza. Nikt i nigdzie nie ubogacił dzieci swoich skarbem droższym nad ukazanie im drogi życia podniosłej i szczęście u domowego ogniska na tem przeważnie się zasadza, aby rodzice cieszyli się nadzieją że te ich dzieci szczęście owe osiągną, stając się użytecznymi członkami społeczeństwa i z kolei przekazują potomkom swoim takie życia i szczęścia pojęcie, które każe im stać silnie przy obowiązku, cześć prawdę i znojem czoła swego zlewając ziemię tę, która ich żywi jak matka dobra, umieli podnosić wzrok ku górze, gdzie jest ojciec wszech światów — Bóg!

M. J.

Druga wystawa higieniczna W WARSZAWIE.

Od dwóch lat zapowiedziana wystawa higieniczna w Warszawie staje się ostatecznie faktem; — za wiele podobno mówiono, pisano o nadzwyczajnych przygotowaniach, za wiele trąbiono na cztery strony świata o mającym się narodzić cudownem dziecku, któremu już naprzód naznaczono rolę Bieniaminka.

Wreszcie doczekaliśmy się tych urodzin; — sympatyczny to, piękny dzieciaczek, ale podobno trochę

jeszcze „nieczesny.“ Nie traćmy nadziei: dojdzie, sformuje się, mając opiekę tylu lekarzy, pedagogów... higienistów; rozwinię się, ubarwi pod ciepłym technieniem uroczego maja, dotąd na nas i na to niewiniątko zagniewanego.

Otwarcie wystawy, projektowane pierwotnie na 15 maja, miało być o dzień przyspieszone dla uczczenia europejskiej uroczystości wynalazcy szczepienia ospy Jennera; wypadło jednak zmienić termin, i chociaż wystawę otwarto o dwa dni później, pamięci Jennera stało się zadość. Tak więc dnia 16 maja w sobotę w południe J. Ek. Oehmistrz Dworu Petrow, w zastępstwie nieobecnego hr. Szuwałowa, w towarzystwie przedstawicieli władz, prasy i osób wydatniejszych dopełnił formalności otwarcia drugiej wystawy higienicznej w Warszawie. Rola gospodarza przypadła poważnemu prezesowi wystawy, profesorowi Włodzimierzowi Brodowskiemu; towarzyszyli mu wice-prezesi: inżynierowie A. Grotowski i K. Mościcki, doktorzy Ed. Przewoski, P. Troicki tudzież J. Polak sekretarz główny a nadto członkowie zarządu: Cichocki, Danielewicz, Krzeczowski, Gerson, Malinowski, Rakiewicz, Rudnicki, Szumlański, Rycerski, Załęski i in.

Plac wystawowy ma kształt wydłużonego trójkąta, dotykającego bokiem południowym do placu wyścigów konnych, a graniczącego na północo-zachód z ulicą Polną i Koszykową (w małej części) na Zachód z Topolową, na południe z Nowowiejską. Do głównej bramy, pomieszczonej w wierzchołku tego trójkąta, prowadzą tramwaje przez ulicę Kaliksta. W jednej z wież bramy pomieściły się co tylko biura wystawy. Na samym wstępie uderza oko nasze fasada budynku centralnego, pomieszczonego poprzecznie na środku placu; zostawiając po prawej i lewej stronie różne pawilony (wszystkich pawilonów jest około 40), postępujemy wielką aleją, nazwaną aleją Eskulapa, gdzie stoją lwy, białe figury, rzędy latarni elektrycznych. Na środku ma być wielki wodotrysk, zdobny niedźwiedziem polarnym dłuta L. Wasilkowskiego. Zbliżając się widzimy na gmachu malowidła: Gersona (Siła podaje rękę piękności), Zmurki (ogień) Piątkowskiego (woda). Idąc w kierunku prostym, przejdziemy gmach napoprzek i znajdziemy się na drugiej połowie placu, mając przed sobą drugi wodotrysk (czynny), a za nim dużą dość gustowną estradę dla orkiestry Konopaska. W gmachu centralnym pomieszczono zbyt ciasno może wielu wystawców a wszystko w połowie dopiero wykończone. Wiele ścian świeci jeszcze gołymi deskami. Gmach ten podobnie jak od strony wschodniej zdobną 3 malowidła: nad bramą „Zdrowie z gór“ Gersona, — po bokach „Powietrze“ K. Wasilkowskiego i „Ziemia“ K. Alchimowicza. Przed samym gmachem Gerlacha kiosk z narzędziami meteorologicznymi.

Przyjrzyjmy się teraz pawilonom. Zaczynamy od pogotowia ratunkowego, które urządził hr. Przezdziecki; jest ono pierwsze z prawej strony od wejścia głównego. Piękna ta nowość, jakością magnata na nasz grunt przeszczepiona, dobrą daje na wstępie etykietę wystawie i świadczy o postępie u nas sprawy sanitarnej. W dalszym ciągu spotykamy budynek oddziału bakteriologicznego, dalej ładny kiosk Spiessa, budynek Gagatnickiego, kiosk Sznajdra w kształcie butelki „przepalanki“ dyskretnie pod parkan usunięty, kiosk firmy Seydla (produkcya winna, urządzenie piwnicy), pawilon Riese'go i Piotrowskiego, pawilon wodociągów i kanalizacji, zgrabny pawilonik „Excelsior“ (wino szampańskie), sympatyczną nader podobiznę starego ratusza, gdzie się urządza diorama Warszawy i wreszcie duży budynek restauracyjny, którego całe urządzenie będzie (mówimy będzie) stanowić grupę eksponatów tego działu. Wszystkie te budynki ciągną się w kierunku ulicy Polnej zachodnio-północnym.

Dochodzimy teraz do zachodniego boku placu wystawy, gdzie się schodzą ulice: Koszykowa, Polna, Wileza, Piękna, Leopoldyna i właśnie w tym miejscu urządzono bardzo odpowiednio bramę boczną.

Od wejścia tą bramą imponuje nam okazały budynek gimnastyczny, z belwederem dla oddziału meteorologicznego, budynek ten, oddany obecnie na pomieszczenie działu wychowawczego powstał dzięki znanej zabiegliwości i energii inżyniera F. Rycerskiego. Przy budynku oddzielono obszerny plac, gdzie się urządzi boisko na ćwiczenia gimna-

styczne — poza boiskiem widnieje obszerna altana mieszcząca wystawę Towarzystwa Wioślarskiego Posuwając się wzdłuż tego zachodniego boku placu wystawowego, napotykamy: „Złoty Ul“ (wykończony w połowie) estradę dla muzyki, pawilon biskoptów Anczewskiego, piwiarnię Junga, dalej idzie półkolem tak nazwana czasowo ulica Ludowa, gdzie się ustawiły i będą wykończone łaźnia, chata wiejska, pawilon higieny ludowej, rzeźnia.

Teraz znaleźliśmy już przy trzecim boku trójkąta wystawowego, graniczącego z ulicą Nowowiejską; tu spotykamy pawilon Wedla, barak papierowy Döckera, gdzie się gromadzą specjalne okazy szpitalnictwa i różnojęzyczna wystawa czasopism medycznych i higienicznych. Dalej cukiernia Semadeniego, labirynt Silberberga, który dziś jest jeszcze prawdziwym labiryntem, w końcu zakład Henneberga z mlekiem prosto od krówek wystawowych.

Otwarcie wystawy nie było czezą formalnością, owszem: to co gotowe było przedmiotem ogólnego zainteresowania.

J. E. Petrow zatrzymywał się przed wielu eksponatami, słuchając objaśnień członków zarządu a zwłaszcza samych eksponentów. Szczegółowe zwiędzanie zaczęło się od działu wychowawczego, jako najwięcej posuniętego w przygotowaniach; tu przedewszystkiem imponuje bogata wystawa szkolna p. Leonii Rudzkiej, a dalej idą: obszerna sala gimnastyki szwedzkiej p. Kuczalskiej, starannie urządzony pokój dla niemowląt Kramsztyka, miły pokój dziecienny p. Maryi Kellerówny, sympatyczny, a pełen najrozmaitszych przedmiotów pokój zabawy dzieci p. p. Nowickiej i Szyćówny. Tu mieszczą się prace naukowe doktorów: Kosnowskiego, Ołtuszewskiego, Kamińskiego, Bączkiewicza, Andersa, Fruchtmana i in. — tu mieszczą się wystawy: Towarzystwa Dobroczynności, Towarzystwa Osad Rolnych — a dalej frebloszczyzna p. p. Kellerówny, Jahołkowskiej i Gminy Ewangielickiej; — wyroby szkoły p. Korycińskiej. Zabawki i zbiory p. Weryho. Przełożona pensji p. Porazińska urządza wystawę działu sanitarnego swego zakładu. Ze znanych firm wystąpiły: Miller (zabawki) Arcet — książki (dotąd wielka pusta szafa) Skiwski książki i broszury, M. A. Wizbek zbiór dzieł o głuchoniemych i ociemniałych tudzież przyrządy do pisania dla ociemniałych i cierpiących na oczy. Wrócimy do tego działu niejednokrotnie, postaramy się szczegółowo przejrzeć bogato nagromadzone eksponaty, wtedy dopełnimy to, cośmy tu opuścili lub co jeszcze nie zostało wystawione.

Nazajutrz po otwarciu t. j. dnia 17 maja przy dniu niedzielnym i względnie pogodnym mniej było zwiedzających, niżby się spodziewać należało. Opuściliśmy po 9-ej plac wystawy pusty prawie: lampy elektryczne acz gęste dawały takie właśnie skąpe światło, jakie znieść może słabe oko noworodka; smętna, pół melancholijna cisza zapanowała nad tym niewykłutym jeszcze zupełnie, nieopierzonym... Hygeopolem.

Wł. N.

O PORANKU.

Jaśminowe białe kiście
Szemrzą cicho w wiatru fali,
Na niebiosach uroczyscie,
Złotą łuną wschód się pali.
Niby dziewa młoda, hoża,
Wśród batystów i koronek,
Z perłowego chmurek łoża,
Uśmiechniony wstaje dzionek.
Po nad modrą, jasną tonią
Unoszą się mgły pajęczce,
Które słońko złotą dłonią
W różnobarbne stroi tęcze.

Wykapanie w kroplach rosy,
Patrzą fjołki jeszcze łzawe,
Blaski, wonie, ptasząt głosy,
Wszystko śpiewa: Ave, ave!

Czy przez srebrne mknie przestrzenie
Seraf szczęścia w śnieżnej szacie,
Że znikają smutku cienie,
Że tak jasno w mojej chacie?
Że wewnętrzne się zawieje
Jakaś błogą ciszą koja,
Że miraże i nadzieje,
Powracają w duszę moją?
Ach to wiosny tchnienia świeże
Takie czary wokół ronią,
Że znów w ustach piosnki dzwonią,
Że znów marzę, Kocham, wierzę.

Marya Chluska.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Słowa jednak wzięły mu na ustach. Siedząca przed nim dziewczyna miała twarz niezwykle surową, ciemne jej oczy błyszczały zimnym połyskiem, uśmiech pół ironiczny przewijał się po ustach.

Wspaniała jej uroda rozwinęła się w całej pełni. Smutne przejścia ostatnich miesięcy nie wpłynęły ujemnie na tę zdrową, bujną naturę, przeciwnie, wyidealizowały jej rysy, kładąc na nich więcej duchowy wyraz.

Demiński wpatrzony w nią zapomniał o wszystkim. Pod ciepłym jego spojrzeniem twarz Janiny łagodnie poczęła zwolna. Czują, że milczenie to ma w sobie coś niepokojącego, przybierając więc ton obojętny odezwała się pierwsza:

— Widzę, że pan nie pochwała mego projektu? Dla czego?

Demiński odzyskał władzę nad sobą.

— Wiele dałoby się powiedzieć przeciw tej kwestyi, — rzekł — lecz w obec stałości czy uporu pani, byłoby to próżną stratą słów. Zresztą nie jestem w zasadzie zupełnym przeciwnikiem dążności kobiet do otwierania sobie szerszych horyzontów. Sądzę jednak, że w położeniu w jakim się pani znajduje, nie potrzebujesz szukać nowych dróg, nowych warunków by stać się użyteczną. Gdybyś pani zechciała tylko...

Głos mu drżał lekko i wzruszenie głębokie wybiło się na twarzy.

— Gdybyś zechciała tylko... — powtórzył z prośbą gorącą — mogłabyś stworzyć całe niebo szczęścia, a może... może i sama być szczęśliwą. Najszczytniejsze obowiązki jakie Stwórca przeznaczył kobiecie, mogłabyś spełniać w obrębie domowych progów i wytworzyć w koło siebie nieskończenie więcej dobra niż podejmując sztandar rzekomego wyzwolenia kobiet.

Janina wztrząsnęła głową z uśmiechem.

— Nie czuję w sobie najmniejszych zdolności ani chęci do wypełniania wzniosłych zadań które mi pan ukazujesz — wyrzekła. — Daleką jestem od ideału kobiety — kapłanki przy domowym ognisku, uosobionego dla pana w postaci pani Orzełińskiej. Brak mi również chęci podzielenia z Amelką i Cesią ich pracy, a znów duma moja i energia, nie pozwoliłyby mi zostać pasorzytem społecznym. Jestem przytem dosyć zahartowana, aby mężnie przenieść rozłąkę z ukochanymi i stawić czoło przeciwnym nawet losom.

Demiński pochylił się ku niej. Cień smutku załegł mu czoło.

— Panno Janino — odezwał się miękko, dłoń jej ujmując — mój rozum po wielokroć w ostatnich czasach składał broń przed uczuciem, ale widząc cię tak obojętną, nie miałem odwagi przemówić. Dziś jednak musi stanowcze słowo paść między nami.

Janinie pociemniało w oczach. Czy ona się nie myli? Czy istotnie na ustach człowieka drogiego jej — choć sama przed sobą przyznać tego nie chce — drży to wszechpotężne słowo, którego ona lęka się usłyszeć a jednak pragnęłaby z całej duszy.

— Panno Janiu! — szeptał już nie władnąc sobą Demiński. — Wszak spojrzenie moje każde mówiło, że cię Kocham? Czym ja się mylił wierząc, że mimo pozornej obojętności, mimo tej dumy którą się opancerzyłaś, tli w sercu twojem malutka iskierka uczucia dla mnie? My nie możemy rozejść się bez cierpienia i krzywdy wzajemnej...

Janina siedziała nieruchoma. Czują, że dusza jej tonie w bezgranicznym szczęściu, że chciałaby trwać tak wiecznie lub rozpląnąć się w nieskończoność, byle nie wracać do rzeczywistości która zimnem dotknięciem zbudzi ją z tego snu czarownego po to, by za tę chwilę zapłaciła bezmiarem cierpienia.

Demiński przeląkł się jej milczenia.

— Panno Janiu — spytał — więc to było tylko złudzenie?

— Nie wiem... — wybiegło szeptem z pobladych ust Janiny. — Nie umiem zdać sobie sprawy z moich uczuć, lecz nie mogę uwierzyć, choćbym pragnęła.

Demiński chłodnie jej rączył do ust przycisnął. — Cemu, panno Janiu? Czy popełniłem kiedykolwiek coś takiego, co by usprawiedliwiało twoją niewiarę?

Janina nie odpowiedziała. Ona wie, dla czego ufać mu nie może, chociaż za nic nie powiedziała by tego. Wszakże tamta, Orzełińska, ma dawniejsze jeszcze prawa do jego serca, pierwiej niż ona, słyszała z ust jego słodkie wyznania. — A zresztą, czemuż on miałby być lepszym od innych? Wszyscy oni kłamią, politowania godni niewolnicy wiecznie zmiennych pragnień swych i namiętności. Czyż ona sama nie zapłaciła za zdobyte doświadczenie utratą najdroższych skarbów swego serca?

Pod wpływem tych myśli rozkoszne upojenie wywołane wyznaniem Demińskiego, zniknęło bez śladu. Rozkochana dziewczyna ustąpiła miejsca surowemu sędziemu.

— Kochałeś pan już kiedy? — spytała nagle, z niepokojem oczekując odpowiedzi. — Jeżeli w takiej chwili znajdzie dość odwagi, by stanąć oko w oko prawdzie, zdoła gdzie przynajmniej mój szacunek — myślała gorączkowo.

Demiński głęboko zajrzał jej w oczy.

— Nie, panno Janiu — rzekł z prostotą. — Nigdy i nikogo prócz ciebie.

— A więc kłamstwo, wszędzie i zawsze kłamstwo... — szepnęła głucho.

Wysiłkiem woli przywołała sztuczny uśmiech na usta.

— Wierzę panu — wymówiła niedbale. — Stałość w uczuciach jest przecież koroną cnót mężkich.

Demiński spojrział na nią uważnie. Coś w jej głosie uderzyło go niemile. Była przytem bardzo blada, chociaż oczy błyszczały nienaturalnym ogniem.

Zapanowało przykre milczenie które przerwała wreszcie Janina.

— Winnam panu odpowiedzieć... — odezwała się nie patrząc na Demińskiego — jakkolwiek żałuję bardzo że nie wypadnie po jego myśli. Wdzięczną, jestem za ten zaszczytny dla mnie dowód szacunku z pańskiej strony, lecz drogi nasze rozejść się muszą, gdyż nie mogę odwzajemnić się uczuciem. Nie wierzę w miłość wierną i stałą, a zdawkowa moneta ofiarowywana zwykle kobietom, nie ma dla mnie żadnej wartości. Próżnobyś pan chciał mnie nawracać — mówiła żywo, widząc że Demiński chce jej przerwać — przekonania mego nic nie zmieni. Nie ja jedna zresztą tak sądzę. Jest to wynik studyów życiowych i psychologicznych wielu ołbrzymów myśli. Jedni wcześniej, drudzy później dochodzą do tego samego rezultatu. Chwila szafu, długie lata zobojętnienia, wreszcie konieczne przyzwyczajenie, oto co daje idealnie przez poetów opiewany związek dwóch dusz ludzkich. Chateaubriand potwierdza moje zapatrywania, gdy przeżywszy

wiele rozczarowań, mówi w końcu: *si j'avais la folie de croire encore au bonheur, je le chercherais dans l'habitude.*

— Nie mam najmniejszego zamiaru przekonywania pani — rzekł złamanym głosem Demiński. — Znam nie od dzisiaj twój niezwalczony upór.

— Mylnie pan to uporem nazywasz — przerwała Janina. — Jestem pewną przytem że i pan we własnej osobie powiększysz w niedalekiej przyszłości, zastęp żywych przykładów na których dowodzenia moje gruntuję.

Demiński powstał z krzesła i stanął przed Janiną poważny, spokojny na pozór.

— Nie mówmy już o tem — przemówił. — Widzę, że jestem pani zupełnie obojętny, bo gdyby było inaczej, głos serca zagłuszyłby wszystko. Ja zaś, nigdy nie nazwałbym swoją kobietą, o której przywiązaniu zwątpiłbym choć na chwilę. Nie o siebie mi idzie... Muszę znieść mężnie utratę najdroższych mych nadziei. Ale serce rwie mi się w pierśsi bólem i żalem nad tobą p. Janiu, bo droga życia przez ciebie wybrana, nie da ci szczęścia ani nawet spokoju. Próżno gonić będziesz za prawdą po szerokim świecie skoro nie umiałaś dojrzeć jej w około siebie.

Po raz ostatni podjął rękę Janiny opuszczoną bezwładnie i do ust przycisnął gorąco.

— Bądź zdrowa!... — wyszeptał.

Janina pozostała bez ruchu. Wzrok jej z upartą siłą zawisł na drzwiach za którymi zniknął Demiński.

Zdawało jej się przez chwilę, że on usłyszy rozpaczliwy krzyk jej serca i wróci, a wtedy ona na nie już niepomna wyzna mu że go kocha, kocha wszystkimi siłami duszy.

Nie mogąc pozbyć się upartej nadziei, zerwała się i pobiegła do okna.

Demiński siedł przez park ku jezioru z głową podniesioną nie oglądając się po za siebie.

— Wszystko skończono!... — szepnęła głucho. — Własnymi rękoma zdruzgotałam szczęście... Zamknęłam jedną z kart życia i nikt nigdy się nie dowie, co zapisane w jej wnętrzu. Kędy mnie zawiedzie droga którą wybrałam i czyżby on miał słusność, że popełniam omyłkę w wyborze?

V.

W zarzecim pałacu ruch panował niezwykle. Robotnicy uwijali się po pokojach ustawiając ławki, tablice, zawieszając mapy i t. p. Były to już ostatnie przygotowania przed otwarciem roku szkolnego w nowo otworzonym pensjonacie Amelii Krasnohorskiej i Cecylii Zielińskiej. Cztery tysiące rubli jakie stryj tej ostatniej dręczony widocznie wyrzutami sumienia w sekrecie przed nowo zaślubioną małżonką ofiarował, pozwoliły uszczęśliwionej dziewczynie stanąć na czele zakładu jako rzeczywista właścicielka.

Sierpniowe słońce po przez splecione łodygi palm i rododendronów zdobiących okna gabinetu Amelki rzuciło kilka gorących promieni.

Park, jezioro, łąki i pola kąpały się w powodzi tych złocistych blasków, w powietrzu unosiła się delikatna woń dojrzewających owoców. Czuć już było zbliżającą się jesień z jej łagodnym, melancholijnym urokiem który w duszy Amelii budził smutek rzewny i niewysłowioną tęsknotę.

Rzadko teraz pozwalała sobie na chwilę marzeń, dziś przecież wyjątkowo czarowi cudnego dnia letniego oprzeć się nie mogła.

Siedziała przy biurku z czołem na dłoni oparciem, wpatrując się w śliczne rysy Janiny wybornie schwycone na fotografii świeżo przysłanej z Paryża.

Dziwnie los pokierował tem wszystkim — myślała. Inaczej zupełnie niż ja wymarzyłam sobie. Demiński chociaż ukrywa to starannie, widzę jednak na jego czole przygnębiającą troskę. Jania daleko, samotna i moje najdroższe marzenie by widzieć tych dwoje razem Kochających się i szczęśliwych, rozwiła się niepowrotnie przez niewytlomaczony kaprys Jasi. Czyżbym się myliła i on był jej obojętnym?

P. Helena przerwała jej zadumę.

— Amelciu — rzekła wchodząc z listem w ręce — Dobrzyniecka dziś przyjeżdża... Fisce mi, że chce

ci powierzyć córki swoje... Otóż i początek zrobiony.

Amelka ożywiła się

— Doprawdy, mameczko? Jakżem rada i dumna z tego — wyrzekła. — Pani Dobrzyniecka należy do rzędu rozumnie postępowych matek i pewną jestem, że nie będzie się sprzeciwiać wychowaniu córek według przyjętego przeze mnie systemu. — Ach, gdyby to już jak najprędzej sale naszego pensjonatu zapełniły się młodemi główkami, gdybym mogła zacząć urzeczywistniać najgorętsze moje pragnienia.

— Daj Boże, aby wszystko poszło po myśli — odezwała się pani Helena.

— Ufam, że tak będzie mameczko — z uśmiechem rozradowania odparła Amelka. — Czuję w duszy siłę wielką która pozwoli mi wytrwale iść do celu. Czyż nie jestem twoją córką moja dzielna mameczko? Potrafiłaś w tak krótkim czasie energią swoją cudów dokonać. Wyrzekłaś się wielu, bardzo wielu rzeczy do których od dzieciństwa nawykłaś, poświęciłaś swój posąg byle pamięć ojca oczyścić spłaciwszy ciężące długi. Przy pomocy jaką będziemy miały z twej strony mameczko, przy twoim zmysłach ekonomicznym, zwyciężymy największe trudności. — Mam nadzieję, że w ciągu lat kilku będę mogła spłacić i te kilkanaście tysięcy rubli długu bankowego które cię jeszcze nękają matuechno.

— Gdyby tylko Jania była z nami. — westchnęła pani Helena. — Jania, ta wieczna moja tęsknota i niepokój!

Amelka przygarnęła się do matki.

— Nie smuć się mamo — rzekła. — Charakter Jani znam na wskroś... To najczystsze złoto i wytrzyma wszelkie próby ogniowe.

Chcąc od przedmiotu tego myśli matki oderwać, zwróciła jej uwagę na urządzenie swego gabinetu. Istotnie, prostota łączyła się tu z wytwornym smakiem i elegancją. Dębowe meble ciemnym utrechtem kryte odbijały dobranym kontrastem od perłowego ścian obicia, biblioteczka doborowa, bogactwo kwiatów i roślin nadawały kącikowi temu pozór elegancki i miły. Gabinet ten uprzedzał korzystnie o właścicielce która pożyteczne z pięknem połączyć umiała.

W parę godzin potem karetą pocztową zatrzymała się przed pałacem.

Pani Helena z uczuciem nieklamanej radości powitała koleżankę i przyjaciółkę lat dziecinnych.

— Oto moje córki — mówiła p. Dobrzyniecka z dumą macierzyńską przedstawiając dwie młodzieńki, miłe panienki przyglądające się z ciekawością Amelii.

— Mam nadzieję, że nie sprawią pani zbyt wiele kłopotu. Jako prawdziwe dobrodziejstwo uważam dla siebie pomysł pań otworzenia zakładu dla dziewcząt w warunkach lepiej niż dotąd zastosowanych do potrzeb ich organizmu. Nie mogę myśleć bez żalu o tych drobnych, częstokroć wątpliwych istotkach przepędzających najważniejsze dla rozwoju fizycznego lata w wilgotnych murach bez słońca, powietrza i swobody, obarczonych na domiar wszystkiego umysłową pracą. To też z prawdziwą rozkoszą przeczytałam prospekt ułożony przez panią z rozległym zrozumieniem celów wychowawczych. — Pani taka młodzieńka, a pojęłaś te rzeczy jak najdoświadczeńszy pedagog — zwróciła się serdecznie do Amelii. Przy takim programie, powiększyłyby się o wiele zastęp zdrowych moralnie i fizycznie kobiet, których niestety, w obec panującej wszechwładnie nerwowości i niedokrwiłości, coraz mniej posiadamy. Było zawsze marzeniem moim niedoścignionem jak mi się zdawało, zapewnić córkom moim racjonalne warunki kształcenia ze szczególną uwagą na fizyczną stronę wychowania.

— Szczęśliwa jestem, — odezwała się Amelia z prostotą, — że poglądy nasze tak się zgadzają. Oby więcej było takich jak pani matek!

— Istotnie, — przemówiła pani Helena — w wychowaniu naszych dzieci wzgląd na higienę bywa zwykle ostatnim. A przecież zdrowie jest najważniejszą podstawą normalnego istnienia.

Pani Dobrzyniecka podeszła do okna.

— Prześliczna okolica! — zawołała, ogarniając spojrzeniem rozległą panoramę. — Jadąc od stacyi kolei zapomniałam chwilami w obec powabów natury o niegodziwie trzęsącym wehikule pocztowym. Po obiedzie Amelia z Cecylią oprowadziły panią

Dobrzyniecką po całym zakładzie pokazując rozmaite urządzenia. Nowe ich pupilki zachwycone były przyszlami ochmistrzynie. Piękność i powaga Amelii, łagodność Cesi podbiły młodzieńki ich serduszką.

Pani Dobrzyniecka była niezmiernie temu rada.

— Widzę, że moje dziewczęta tęsknią tutaj nie będą... — mówiła serdecznie, ściskając na pożegnanie dłoń Amelii. — Z całego serca powodzenia życzę! Przykład pani posłuży niejednej do naśladowania. A chociaż jako rzecz nowa wywoła bezwątlenia i głosy niechętnie i uśmiechy niedowierzania, niech się droga pani tem nie zraża. Jestem pewną, że system twój doczeka się ogólnego rozpowszechnienia i przyniesie niemałą korzyść społeczeństwu. Pragnę, by Marylka i Tonia do pani stały się podobne.

Dzień ten, przyniósł jedną jeszcze niespodziankę. Przed wieczorem przyjechała właścicielka Górek i Zambrówki, wraz z trzema niezgrabnymi dziewczynkami które przyglądały się wszystkiemu imperynecko najdziksze robiąc do siebie miny. Za to matka ich była uszczęśliwiona, że trzy swoje latorośle będzie mogła oddać pod kierunek panny Krasnohorskiej której w skrytości ducha zazdrościła oddawna wytwornej dystynkei i paryzkiego akcentu.

— Bo to widzisz, kochanećku, — mówiła wielokrotnie do męża — Klimunia, Laurka i Henryczka, mogą dużo od tej pannie skorzystać. Już ty mi wierz, bo ja się znam na tych rzeczach. Zarozumiała, niesympatyczna, ale dystygowana i ma pańskie maniere. A naszym dziewczętom właśnie poloru brakuje.

— Drogo sobie pewno każe za ten polor zapłacić — mruknął niechętnie przewidujący małżonek.

— To trudno! dziewczęta jak dziczki rosnać nie mogą. Uroda jest, posąg jest, a jednak do zrobienia odpowiedniej partyi przeszkadzały im zawsze, brak owego salonowego ułożenia które o dobrej rasie mówi — dowodziła z zapalem matka Klimuni, Laurki i Henryczki.

Małżonek argumentem tym przekonany, już się nie sprzeciwiał, chociaż w myśli piorunował na emancypację panny Krasnohorskiej, której oddawna już propagatorskie idee wysmiewał.

— Pani będzie łaskawa pamiętać — mówiła puszczając się, właścicielka Górek do słuchającej ją uważnie Amelii — aby córki moje kształciły się stosownie do pozycyi jaką w świecie zajmują. Nie należy ich utrudzać zbyt zbytecznymi naukami bo dobre to dla tych, które jak pani naprzykład, zmuszone są pracować na siebie.

Rzuciła mówiąc to skośne spojrzenie w stronę siedzącej opodal pani Krasnohorskiej, aby się przekonać czy pocisk trafił do celu.

Amelka uśmiechnęła się nieznacznie.

— Mój system wychowawczy stosować się musi jednakowo do panien w pozycyi i bez pozycyi stojących — odezwała się grzecznie lecz stanowczo. — Przede wszystkim, zamierzam w wychowankach moich rozwijać siły fizyczne i kształcić duchową ich istotę. Salony przymioty uważam za rzecz drugorzędną.

Właścicielka Górek spojrzała na nią z oburzeniem.

— Co też pani mówi? Dla panien bogatych i tak dobrze położonych w towarzystwie jak będą moje córki ogląda i talenta salonowe są najważniejszą rzeczą. Laurka ma głos piękny i powinna dobrze śpiewać, Henryczka do muzyki ma zdolność. Proszę więc pani aby przedewszystkiem usiłowania swoje zwróciła w tym kierunku. Nie idzie za tem, abyś Henryczkę zamęczała etudami których ona nie lubi. Jakies efektowne *morceaux de salon*, elegancka poleczka, misterny walczyk to i dosyć dla arystokratycznej panny. Co do Klimuni, nie objawia dotąd żadnego wyraźnego talentu, ale to już do pani należy. Przekonaną jestem, że skoro pani popracujesz nad nią, to się talent do malarstwa może wyrobić. To nie jest trudna rzecz! W Anglii córki lordów wszystkie malują. To bardzo przyjemnie dla matki pokazywać gościom w salonie, malowidła którejs z córek. Nawet mój mąż, który sprzeciwia się nowomodnemu kształceniu panien zgadza się na malowanie.

Amelka przerwała jej z ledwie hamowaną niechęcią.

— Tak się różnimy w pojęciach z łaskawą panią, że prawdopodobnie, porozumienie się będzie bardzo trudne. Chcąc nadać właściwy kierunek teraźniejszemu wychowaniu kobiet należy przede wszystkim zwracać ich umysł do rzeczy więcej ścisłych, aniżeli błyskotliwych. Niech łaskawa pani o tem nie zapomina, że córki jej będą salonowymi pannami zapewne tylko lat parę, zaś matkami i obywatelkami całe życie. Na kobiecie spoczywa zdrowie moralne i fizyczne społeczeństwa i dla tego, podstawą jej wykształcenia winny być wiadomości z dziedziny higieny ekonomii, chemii, fizyki, fizjologii...

Właścicielka Górek przerażonym ruchem podniosła ręce do uszu.

— Co, co, co? — wołała zdumiona. — To widzę mój mąż miał rację twierdząc, że pani moim dziewczętom tą modną emancypacją przewróci w głowach. A cóż im to po chemii, a co po fizyce? Nie znały tego matki i babki nasze, a wychowywały zdrowych synów i tęgie córki.

— Wszystko dążyć musi ku postępowi i udoskonaleniu, — zauważyła zmęczona tą rozmową Amelia.

— Już ja tam kwituję z tej modnej edukacji! — odpowiedziała z uporem właścicielka Górek. — Jeżeli pani możesz zastosować się do moich instrukcji...

— Nie łaskawa pani! — odparła stanowczo Amelia. — Od raz wytkniętego kierunku nie zboczę nigdy ani na jotę. Zatem porozumienie się nasze uważam za niemożliwe.

Matka trzech pociech mających być *in spe* ozdobami salonów zamysliła się mocno. Pozostawienie ich u panny Krasnohorskiej, miało wiele szans nie do odrzucenia. Po pierwsze, będzie je miała blisko, po drugie taniej to wyniesie niżeli by je kształciła w wielkim mieście, po trzecie, wykwiłtne obejście Amelii tak się niesłychanie różniło od gburowatych manier jej córek, że można było puścić mimochodem niejedno byle pod takim wpływem je zostawić. Przypomniała sobie, jak na pierwszym balu w Zarzeczcu, panny Krasnohorskie zaćmiły wszystkie panny okoliczne, arystokratycznym wdziękiem i wytworną dystynkeą.

Pod wpływem tych myśli, odezwała się kwaśno:

— Ha! trudno! taki już widać porządek teraz na świecie! Niechże tam już będą te higieny i inne wymysły, choć mojem zdaniem, to tylko próżna strata czasu. Byle mi tylko pani przyrzekła, że język francuzki i angielski, muzyka, malowanie, taniec będą na pierwszym planie. Od tego nie odstąpię.

Amelia pomyślała chwilę. Trafny jej sąd o wszystkim mówił jej, że nie przeprowadza się przebojem żadnej nowej idei i właśnie dla dobra tejże, trzeba umieć cierpliwie walczyć z przedzeniami.

— To mogę pani przyrzec, — rzekła. — Nie leży bowiem w moich zamiarach pomijać wymienione przedmioty, które i ja za potrzebne do uzupełnienia edukacji uważam.

Ułożono wreszcie warunki przy których bogata właścicielka Górek, Zambrówki i kilku innych folwarków nie omieszkala targować się do upadłego.

Pożegnała w końcu zmęczone panie zarzeckie pozostawiając za sobą niezbyt przyjemne wrażenie.

— Trudny orzech do zgryzienia będziemy miały z wychowaniem tych panienek — odezwała się Cesia po ich odjeździe.

— I ja się tego lękam — zauważyła pani Helena. — Walczyć z ludźmi takich pojęć jest prawie niepodobieństwem. Do ich czerstwych sere i umysłów nie przylgnie żadna szlachetniejsza idea.

— Jakoś to będzie! — powiedziała z otuchą Amelka. — Wolałabym tylko żeby rodzice mieszkali cokolwiek dalej. Łatwiejby nam było zniweczyć ich niekorzystne wpływy.

Czuła się jednak znudzona i zapragnęła samotności.

— Pojadę do Zambrówki, mameczko, — rzekła. — tak dawno u pani Dembińskiej nie byłam. Wieczór piękny orzeźwi mię nieco. A może i ty pojedziesz, Cesi?

Ale Cecylia odmówiła. Przejazdźka wodna o wieczornej porze nabawiała ją zwykle kaszlu.

Słońce utonęło już za ciemną krawędzią lasu, gdy Amelia wypłynęła na jezioro.

Cicha noc księżycowa czarem swoim budziła w duszy dziewczyny rozmarzenie i pragnienia nieokreślone.

Oczy jej ślizgając się po gładkiej, przezroczystej toni wodnej z dziwną siłą wpatrywały się w tajemniczą głębię, lub z tęsknotą wybiegały ku dalekim horyzontom w mgle wieczornej zacierającym się zwolna.

Spokoju, rezygnacji, które dopiero daje wiek późniejszy wyrobić w sobie jeszcze nie mogła, a młode, gorące serce domagało się praw swoich i podziału uczuć.

Póki jej się zdawało, że Janina kocha Edwarda, w bezgranicznym przywiązaniu do nich obojga, milkły jej własne bóle i gorycz zawodu. Ale teraz całą siłą podnosiło się w jej sercu pragnienie osobistego szczęścia. Z zadumą na pobludłej twarzy zjawiała się potem w pokoju pani Dembińskiej.

Stojąca na stole lampa, łagodnym światłem obrzucała pochyloną nad robotą głowę starszki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Szach perski.

Sławna podróżniczka francuzka, p. Joanna Dieulafoy, wydała o szachu perskim bardzo zajmujące dzieło, pełne oryginalnych wiadomości.

Pani Dieulafoy przebywała w Persyi przez czas dłuższy i znakomicie włada tym językiem. Podczas swego pobytu w Teheranie zdobyła pozwolenie dokładnego obejrzenia całego pałacu szacha i doskonale opisała wewnętrzne urządzenie dworu perskiego oraz panujące w nim zwyczaje. Z tego ciekawego i wiernego obrazu czerpiemy poniżej podane notatki.

Życie Nasr-ed-dina.

Nasr-ed-din, syn Mohameda Szacha, urodził się w 1830 r. W tej epoce Persya nie liczyła się jeszcze do większych państw i nie zwracała na siebie żadnej uwagi. Przyczyniały się do tego jeszcze takie okoliczności, jak trudny dostęp do tej krainy; obszerna, copperska, lecz brudna i źle zabudowana stolica, nietolerancja religijna i zmienny, niezdrowy klimat. Te warunki nie zachęcały wcale cudzoziemca do osiedlenia się, a krajowcy nie pragnęli znów zawiązywać stosunków z niewiernymi. Persya żyła w odosobnieniu od cywilizowanego świata, nie mając prawie żadnych stosunków z Europą. Nasr-ed-din otrzymał staranne wychowanie pod kierunkiem matki i uczonego molloha. Nauczono go gruntownie języków perskiego, tureckiego i arabskiego, umiał na pamięć cały koran, a swych starożytnych poprzedników poznał z epickich wschodnich poematów. Oprócz tego doskonale władał bronią palną, z niezwykłą zręcznością dosiadał ogniste rumaki, a w wycieczkach pieszych nikt mu dorównać nie umiał.

Skończywszy lat szesnaście poślubił Nasr-ed-din daleko starszą od siebie a wybraną przez ojca księżniczkę, która swym rozumem i doświadczeniem kierowała młodym małżonkiem. Jednocześnie oddano mu w zarząd prowincję Azerbajdyan, stanowiącą specjalne dobra dla synów królewskich.

W dwudziestym roku Nasr-ed-din wstąpił na tron Kserksesa i Dariusza, oddalwszy kilku księżących współzawodników, dzięki energicznej działalności swej matki.

Władca ten potwierdzony przez Europę, szanowany przez swych poddanych, panował nie mając regularnej armii, ani dobrze zorganizowanej policji, ani nawet dobrze zamkniętego więzienia.

Słowa jego były jednak wyrocznią, a rozkazy stawały się najwyższym prawem.

Przyjrzyjmy się prywatnemu życiu szacha, które spędzał w swoim pałacu Ark, mieszczącym się w środku Teheranu.

Wogóle pałac, ogrody i zabudowania dworskie stanowią jakoby osobne małe miasteczko, rozparte w samym sercu stolicy i dokoła murem obwiedzione. Pałac, stosownie do powszechnie panującego w Persyi zwyczaju, podzielony jest na dwie części: wewnętrzną (*anderun*), wyłącznie przeznaczoną dla kobiet, i część zewnętrzną czyli *birun*, przeznaczoną do ceremonii życia urzędowego.

Część wewnętrzną pałacu, zbudowaną kilka lat temu, idzie wokoło prostokątnego podwórza, mającego około stu metrów długości. Ta część budynku tworzy jednakowej wielkości, długie przegrrody, podobne do koszar wojskowych, oświetlone jedynie od podwórza, które ma tylko jedne drzwi do wyjścia. Straż stojąca u drzwi nie przepuściłaby nawet śmierci, gdyby ta nie była rodzaju żeńskiego.

Tak zewnętrznie jak i wewnątrz wszystkie kobiece apartamenty są do siebie podobne. Białe mury wapnem wymalowane, ozdobione są różnokolorowymi arabeskami, zręcznie namalowanymi przez krajowych rzemieślników. Podłogi ubite z gliny, pokryte matą i dywanami. Umeblowanie składa się z materaców i poduszek na dzień zwijanych, z półek osadzonych w murze, zastawionych rozmaitemi przedmiotami i zagranicznymi cackami, pomiędzy którymi najpierwsze miejsce zajmują szwajcarskie grające szkatułki i rosyjskie samowary. Niewielkie, srebrne lub miedziane obijane kufry stojące pod ścianami, zawierają garderobę i kosztowności perskich elegantek. Zapewne niejedną damę europejską zadziwiłaby mała objętość kufrow i waliz, w któreby zaledwie swoje kapelusze sezonowe pomieścić mogły. Tłumaczy się to jasno rodzajem ubrań dam perskich, które doskonale składać można.

Stroje ich złożone są z jedwabnych zasłon, z małej otwartej westki zwanej *koledza*, z krótkich jedwabnych spódniczek. Kostiumy do wyjścia na ulicę lub podróżowania stanowią długie u kostki spięte szarawary, długi szeroki płaszcz z niebieskiej jedwabnej materyi, osłaniający całą postać, oraz długi, gęsty biały welon, zwany *rubandi*.

Szach wstawał zwykle około 8¹/₂ rano. Strój nosił prawie europejski: surdut przystosowany do wschodniej mody, z cienkiego kaszmiru, ściągnięty w pasie, z wierzchu dłuższa niebieska kapota. Nowego ubrania nigdy szach nie przymierzał; specjalny krawiec musiał być tak wyćwiczony, aby umiał uszyć ubranie, któreby od razu dobrze leżało.

Po skończonej tualecie Nasr-ed-din pił herbatę i palił fajkę, poczem udawał się do zewnętrznej części pałacu.

Birun czyli część zewnętrzna pałacu podzielona jest na małe i duże apartamenty. Najprzód idzie sala tronowa, gdzie władca perski w otoczeniu astrologów przyjmował hołdy dygnitarzy dworskich. Powtarzały się tu stare tradycyjne ceremonie, część których odtworzono w starych płaskorzeźbach na ścianach pałacu. Obok tronowej sali znajduje się muzeum.

W tej wielkiej sali, pośród nagromadzonych darów i przedmiotów drogoceennych najpierw uderza oko olbrzymia mapa całego świata. Mapa ta, wykonana na złotej blasze, ma wytknięte drogiem kamieniami wszystkie miejsca i kraje, po jakich odbywał podróż szach perski. Obok tych dwóch wielkich, a rzadko zaludnionych komnat, mieszczą się salony po persku urządzone i przeznaczone jedynie dla prywatnych stosunków szacha.

Około 12-iej podawano szachowi na olbrzymiej złotej tacy obiad, złożony z zupy, zaprawionej kwaśnym mlekiem lub sokiem cytrynowym, z pieczonego jagnięcia lub kury oblanej sosem z niedojrzałych winogron. Oprócz tego podawano często potrawy z marmeladą z jabłek i piław z baraniny z ryżem.

Szach jadał z ręcznicami prawej ręki, popijając czystą, źródlaną wodą, a jednocześnie słuchał uważnie wiadomości, jakie mu z europejskich dzienników głośno odczytywał i tłumaczył dr. Tholosan.

Po deserze, składającym się z twardego sera zwanego *panir*, podawano czarną kawę w małych filiżaneczkach.

Na koniec *kalyandzi* (specjalny ochmistrz od królewskich fajek) podawał szachowi na długim cybuchu zapaloną fajkę. Rola nadwornego *Abdara* (podczasowego) jest bardzo poważną i często prowadzi do najwyższych zaszczytów i godności.

Niegdyś Nasr-ed-din spożywał obiad w towarzystwie pięciu lub sześciu perskich eskulapów, przybranych w olbrzymie turbany; powierzono im czuwanie nad pożywieniem swego władcy.

Przybycie d-ra Tholosana obniżyło ich wartość do tego stopnia, iż pewnego dnia szach pozbawił ich zaszczytu opieki nad swym zdrowiem. Le-

karze podnieśli bunt wielki, duchowienstwo wzięło stronę krajowych mędrców, lecz wszystkie te usiłowania rozbiły się o niezłomny upór szacha.

W dzień urodzin Nasr-ed-dina i w święto wielkiego Mahometa zaproszeni bywają na obiad wszyscy książęta krwi. Podczas całego festynu monarcha kłęcząc patrzy na współbiedniaków. Naturalnie wypada się spieszyć i ten z książąt, który najpierwszy skończy biesiadę, zostaje obdarzony łaskami i względami monarchy. Po ukłonie wszyscy galopem pędzą obmyć się do bassenu, gdyż niewolno nawet obejrzeć ręk w obecności szacha.

Podczas jednego z takich rodzinnych festynów zdarzył się nader zabawny wypadek. Postanowiono, aby zaproszeni goście używali widelców do obiadu. Tak niezwykły wypadek wzbudził nadzwyczajną ciekawość pomiędzy damami pałacowymi, więc uprosiły szacha, aby pozwolił im przyglądać się festynowi z za parawanu, wyłącznie na ten cel ustawionego. W połowie uczyt niespokojne damy przewróciły parawan, a książęta, przerażeni takim wykrecoeniem przeciw odwiecznym prawom Iranu, ukryli oblicza w napełnione talerze.

Nasr-ed-din bardzo lubił podróże i ze swoich dwóch wycieczek do Europy w 1878 i 1889 r. pozostawił bardzo ciekawe notatki, skreślone w formie pamiętników.

* *

Książki dla matek i nauczycielek.

Ważną częścią literatury każdego kraju, każdego społeczeństwa jest literatura pedagogiczna, pomagająca rodzicom i nauczycielom w wychowaniu młodzieży i jeżeli książki pisane dla dzieci uważane są za środek kształcący wielkiego znaczenia, nie mniejszą jest waga książek, których czytelnikami są osoby nauczające, bo czytanie jest podstawą ważną dla kierunku myśli, dla kierunku przekonań naszych, jak to wykazuje autorka francuzka, M. Salmon, w książce przeznaczonej dla młodych panien pod tytułem „A nos jeunes filles, lecture et leçon familière de morale“, w której pragnie przysposobić te nieznaną jeszcze życia istoty do życia pracy i obowiązków, nazywając to edukacją uczucia, jakie powinno się rozbudzić w piersi młodej. Aby tak być mogło potrzeba przecieć, aby osoba nauczająca miała w sobie instynkt macierzyński, aby umiała kochając dać się kochać, bo wtedy tylko wytworzy się ten węzeł uczuć, które oddziaływały by i na umysł, przyjmując w siebie przekonania i pojęcia, jakie mu poddane będą.

Pragnąc cel ten osiągnąć jedna francuzka ochmistrzyni pensjonatu panien w Bordeaux dyktowała w każdą sobotę przy zakończeniu lekcji jakoby list do uczennic swoich, na który odpowiedź każda z nich obowiązana była przedstawić w poniedziałek rano, aby czytana wtedy głośno komentowaną była przez ochmistrzynię, która z treści listów owych powiadamiała się o stanie uczuć i pojęć uczennic, o kierunku ich poglądów na życie. Ze listy te zwracały rozumnie uwagę młodych dziewcząt na cele i obowiązki istnienia człowieka wśród ludzkości jeden z profesorów wspomnianej szkoły zebrał czterdzieści dwa listów owych i wydał je w książce, przedstawiającej matkom jakoby odbicie myśli i pojęć młodych dziewcząt, które, stojąc jakoby u wrót życia, życie to już sobie przedstawiają w myśli, budując na tej podstawie nadzieje i obowiązki jakie na nie czekają w kształtach doli i niedoli ich przyszłości.

Są to rozmaite obrazki życia, nauczające żyć, nauczające życie poznawać z jego stron tak materialnych, jak moralnych. Jeden z nich pod tytułem *Dom*, ma za cel rzucić promień poezji na codzienne nasze istnienie i autorka kreśli pod tym tytułem obrazek jakoby w liście matki pisany do córki: „Córko moja czyś ty słyszała w tych dniach wiosny, gdy natura budzi się do życia pod pierwszemi promieniami kwietniowego słońca to wdzięczne

trzepotanie skrzydełek ptasich, te słodkie radosne dźwięki odzywające się ze stron wszystkich, bo jest to chwila w której ci mieszkańcy lasów i ogrodów ściska sobie gniazda — budują przybytki dla szczęścia miłości rodzinnej? Twój dom córko moja droga, gdzie nauczyłaś się kochać, gdzie odczułaś pierwsze uniesienie radości i pierwsze próby cierpienia życia, to też gniazdko takie i jak ptaszek wyściełaj go też sobie tym miękczącym kandy życia materiałem, który wytworzyć może tylko miłość, miłość jedynie, bo przynosi ona za sobą wdzięk ten słodki oblekający wszystko pięknosciami i wszystkiemu poradzić zdolny, bo daje on otoczeniu naszemu urok, jakiego nigdy żadnym sposobem innym zdobyć sobie nie można.

Cheąc to pozyskać trzeba zatem, aby poezja uczucia była tu złączona z poezią tego piękna życia, które nazywamy czystością istoty naszej. Kobieta ma tu swój zakres w kierunku własnym i autorka odzywa się do dziewczicy młodej słowami kochającej matki: „Córko ty moja chociaż cię widzę uważnie słuchającą wykładów nauczycieli, chociaż cię widzę głęboko zatopioną w książkach, z których czerpiesz wiedzę, zadaję sobie niemniej pytanie, czy ci to wystarczy, abys się stała kobietą zanie dostojną? Trzeba aby nauka oświecając twój umysł, dała ci zrozumieć nietylko to, jaką być powinnaś, ale trzeba ci umieć poznać się jaką jesteś w głębi swojej? Uczucie miłości czyste i szlachetne pojęte, złączone z rozsądkiem i wolą silną stanowi o tem, należy ci też czuć zawsze nad sobą Boga a na celu mieć dobro, bo wtedy tylko nie zabłądzisz wśród manowców życia. Człowiek jedynie wśród tysiąca zamieszkujących ziemię tworów ma szlachetne pragnienie dobra, bo do dobra został stworzonym, lecz stan ten uczucia, które się przez to w nim wytwarza, to jeszcze nie te czyny ofiar wielkich, poświęceń wzniosłych, które tworzą bohaterów.“

Potrzeba na to pilnego baczenia nad każdą myślą naszą, nad każdą chęcią rodzącą nam się w sercu i umyśle, z którą trzeba albo waleczyć mężnie i odepchnąć ją daleko od siebie, jeżeli spostrzegamy, że wywiodła by nas na poziom życia niski, albo w razie przeciwnym trzymać jej się niezłomnie, choćby to działa się kosztem ofiar największych. To praktyka, zasada zaś na której się rzecz opiera, zawarta jest w zdaniu wysoce mądrym: „Niech duch nasz wznosi się nam w łonie nietyle przez czyny wielkie, jak przez czyny dobre.“ Tym sposobem też człowiek rosnąc w lata podnosi się duchem ku górze, bo młode dziecko pojmuwać już zaczyna że są wśród ludzkości obowiązki naruszyć się nie dające, że je ma każda istota ludzka. Uczucie wdzięcznej miłości dla rodziców już to wykazuje a pierwsze to jest ogniwo poczucia się do solidarności ludzi między sobą. Prawo pracy naucza nas dalej że nie godzi się być darmozjadem, bo wtedy ciężymy na bliźnich naszych i jesteśmy nie potrzebni nikomu, więc też nikt nie wyciąga do nas ręki i wytwarza się w koło nas pustka, boleśnie odczuwać się dająca. Dobroczynność jest węzłem spajającym ludzi a dobroczynnym jest nie ten tylko kto żebrakowi jałmużnę grosza daje; podać rękę temu który jest zmęczony i paść może o ziemię, to szlachetny uczynek miłości bliźni-go, który odpłaca nam się zawsze sowicie, bo słodkie zadowolenie wstępuje nam wtedy w serce wraz z wiarą w szlachetność człowieka. Każdy kto tak myśleć i czuć może już pewien zaród szczęścia w sobie nosi, a daje to nam jedynie wychowanie, które jeżeli dobrze prowadzonym będzie wytworzy istocie młodej taką podstawę dla życia, że nigdy nie osunie się w ten dół istnienia ciemny, gdzie człowiekowi stworzonemu do światła smutno jest i bolesno. Matka tworzy dołę i niedołę dziecka swego bo czyni to dziecko takim, jakim jej się przedstawia ideał dostojnego i szczęśliwego człowieka.

Trzeba przecież pilnować się rodzicom, aby ich działalność wychowawcza nie była zbyt szkodliwa, aby pozwalali rozwijać się swobodnie tym siłom skłonności, które dziecko przynosi ze sobą do życia. Niech tylko te obdarowania natury skierowane będą w stronę dobra i światła, a człowiek stanie się mimo wszelkich prób i niepewności losu istotą szlachetną, która w tej szlachetności swojej już posiew szczęścia posiada.

M. I.

Teatr w Chinach i w Japonii.

Japończycy przejęli, jak wiadomo, od sąsiadujących z nimi Chińczyków całą cywilizację, a więc i znajomość sztuki dramatycznej; potrafili oni z wrodzonym sobie sprytem doprowadzić ją w krótkim czasie do takiej doskonałości, że dziś mistrzów swych na tem polu przewyższają.

Literatura dramatyczna Chińczyków jest w dobie obecnej bardzo bogata; to samo da się powiedzieć również o literaturze dramatycznej japończyków. Badacze jednak europejscy zaledwie dotąd dotknęli tej dziedziny wiedzy, dotychczasowe zaś w tej mierze wiadomości ograniczają się na kilku pobieżnych szczegółach, dotyczących urządzenia sceny.

W Chinach scena pozostała tem, czem była od początku przedstawia ona zwyczajny, nieco podwyższony czworobok z dachem i trzema ścianami, od strony publiczności otwarty i zaopatrzony w najprimitywniejsze dekoracje, tak że fantazya widza bardzo wiele musi tu uzupełniać, jeżeli chce uleże złudzeniu. Ulica jest w wielu razach miejscem dla widzów, a jeżeli nawet gdzieśgdzie wzniesiono stały budynek teatralny, to ma on wygląd naszych naprędce skleconych bud jarmarcznych. Na prawo i na lewo wzdłuż ścian i nad wejściem znajdują się galerie dla uprzywilejowanych, na dole parter.

Podobne, nieco tylko ozdobniejsze urządzenia mają również teatry japońskie z tą jednak wielką różnicą, że gdy w Chinach widzowie posługują się krzesłami, tu siedzą na gołej ziemi. W tym celu podzielony jest cały parter za pomocą silnych, prostopadłych zaledwie na 1 stopę wysokich przegród drewnianych, na małe kwadraty, z których każdy przeznaczony jest dla jednej rodziny. Przegrodami temi, u góry szerokiemi, przechodzą widzowie dla dostania się do swoich miejsc, tutaj też stają przekupnie roznoszący chłodzące napoje. Gdy widzowie, do jednej należącej rodziny, szczęśliwie zajęli przeznaczony dla siebie kwadrat, następuje ustawienie w środku t. zw. „hibaczi;“ jest to rodzaj piecyka napełnionego żarzącymi się węglami, z którym to Japończyk nigdy się nie rozstaje, a który służy do zapalania fajek.

Palenie tu jest powszechne: palą mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Fajki, któremi się posługują są bardzo małe, i muszą być co kilka minut z popiołu oczyszczane; rozlegające się wskutek tej czynności ciągle w teatrze stukanie jest pierwszą właściwością, zwracającą na siebie uwagę cudzoziemca.

Tuż przy wejściu około kasy wpadają w oko stopy numerowanych sandałów. Jest to garderoba. Wejście do wnętrza jakiegokolwiek budynku, inaczej niż w pałacach, jest dla Japończyka uchybieniem cięższym od zbrodni.

Obuwie, pokryte błotem ulicznym, pozostaje na zewnątrz. Maks Buchner pisze: Nie miałem, niestety, sposobności przekonania się, jak publiczność odbiera swoją garderobę, przypuszczam wszakże, iż czynność ta przedstawia pewne trudności; dla Europejczyków, którzy i bez tego dość często muszą tu zdejmować obuwie, zrobiono w przybytku sztuki wyjątek pod tym względem: przeznaczono im miejsca nie na parterze, ale na galerii, za wyższą znaczniejszą opłatą.

Najcharakterystyczniejszą jest budowa samej sceny. Dwa, specjalnie japońskie, urządzenia, a mianowicie: obracająca się tarcza i pomost pomagają bardzo inscenizacji, dodając jej wiele powabu.

Scena jest właściwie rodzajem karuzeli. W czworoboku przedstawiającym podłogę wykrojono koło tej samej prawie średnicy. Koło to pokryte ruchomą tarczą, przedzieloną za pomocą pionowej ściany na dwie części, przedstawia równocześnie dwie sceny, przednią na której się akcja odbywa i tylną, dla następnego aktu. Gdy się akt skończył, tarcza wykonywa pół obrotu i pokazuje scenę następną, lub też ćwierć obrotu, gdy akcja odbywać się ma na obydwu scenach równocześnie. Aktor, po skończeniu aktu, wychodzi drzwiami w tyle umieszczonymi, staje w nich z nogą w górę podniesioną i cze-

ka, póki tarcza się nie obróci, poczem tą samą drogą wchodzi na nową scenę.

Daleko oryginalniejszym jest jednak drugie urządzenie.

Od sceny, na równej z nią wysokości, wzdłuż lewej strony całego parteru, ciągnie się pomost około trzech stóp szeroki i kończy się drzwiami w tylnej ścianie. Należy on jeszcze do sceny, przedłużając ją w ten sposób, i przeznaczony jest dla akcyi rozgrywającej się nie na samej scenie, lecz w jej pobliżu. A więc morderca tą drogą skrada się do swej ofiary, tędy szuka ucieczki prześladowana niewinność, tu wreszcie ginie dzielny bohater, ugodzony śmiertelnym strzałem ze sceny. Wszystkie te chwile dadzą się na tym wązkim pomoście bardzo efektownie przedstawić i stanowią nieraz o powodzeniu sztuki lub aktora.

W Japonii dekoracje uzmysławiają dostatecznie miejsce w którym się akcja odbywa, — w Chinach natomiast musi aktor zawsze objaśniać, gdzie się znajduje, a bohater rozpoczyna rolę swą od słów mniej więcej takich: „Jestem gwałtowny Li Czang Czi Tung. Dokoła mnie znajduje się pustynia, otoczona stromymi górami!“ Włożenie na stoły, krzesła lub drabiny przytrzymywane przez służącego oznaczać ma, wskazane przez akcyę, drapanie się na góry. Aktor, który chce dać do zrozumienia, że jedzie konno, podnosi jedną nogę w górę i trzyma ją w tem położeniu tak długo, póki celu podróży nie osiągnie. Gdy scena przedstawiać ma bohatera odpływającego na okręcie, wtedy jeden ze służby staje przed nim i naśladuje ruch wiosła, a inne na scenie znajdujące się osoby przysłaniają sobie dłonią oczy i patrzą w dal, podczas gdy on zwolna w tył się posuwa.

Tej zadziwiającej prostocie inscenizacji towarzyszą czasem przesadne allegorye, zwłaszcza jeżeli chodzi o przedstawienie morderczej walki. Jak bowiem Chińczyk z jednej strony do wojny prawdziwej mają wstręt, tak z drugiej przepadają za wojną na scenie. W tym celu muszą być jednak aktorowie równocześnie akrobatami.

Wodzowie, przybrani w wspaniałe jasno-zielone, czerwone i niebieskie kostiumy z twarzą z jednej strony na białe lub niebiesko z drugiej na czarno lub zielono umalowaną, z długimi brodami, na głowie mają hełmy z dwoma piórami bażanta, na plecach cztery chorągiewki; wychodzą oni dumni, napuszeni, nadymają się, obchodzą wzajemnie, jak indyki, i wśród głośniejszych przekleństw wyzywają do walki. Gdy ta się zaczyna, następuje zamęt nie do opisania. Każdy z wojowników rozpoczyna walkę w ten sposób, iż skacze równymi nogami nieprzyjacielowi swemu na piersi, a odbiwszy się wywraca w tył koziołką w powietrzu. Tuzin takich koziołkujących bohaterów wystarczy, ażeby dać dokładne pojęcie o tym obrazie, a jest ich czasem znacznie więcej. Walce takiej towarzyszą przytem głosy drażniące słuch w równym stopniu. Chińczykowie mają nerwy tak silne, jak mało który z narodów, to też i w dziedzinie tonów wymagają wrażeń bardzo dosadnych.

Już sam sposób mówienia głosem gardlanym przypomina bardzo skrzeczenie papugi i może bardziej wrażliwego Europejczyka doprowadzić do rozpaczki, co dopiero, gdy towarzyszy temu przygrywka na oryginalnego rodzaju instrumentach z drzewa i metalu, używanych dla wydobycia szczególnych efektów.

W głowie nienawykłego do podobnych symfonij widza powstaje chaos, z niczem nie dający się porównać.

Walka cała przedstawiona jest jednak tylko alegorycznie.

Udane trupy padają na ziemię i bywają wynoszone lub same ze sceny wychodzą. Ogólne wrażenie i tak już dostatecznie straszne.

Japończyk chce przeciwnie widzieć w teatrze prawdziwą krew. Tłumna walka zajmuje go daleko mniej, niż np. podstępne morderstwo, pojedynki lub ulubione „harakiri“ t. j. rozpruwanie brzucha wobec publiczności. Zdradza on przytem wielki pociąg do okrucieństwa. Odcięte, we krwi pływające głowy, z zakrwawionego żołądka wypływające wnętrzności są tam najniezbędniejszymi teatralnymi rekwizytami.

O wiele przyjemniejsze wrażenie sprawia innego rodzaju cecha właściwa scenie japońskiej, a miano-

wicie wysoko rozwinięte zamiłowanie posługiwania się cudownymi dziećmi, które nieraz opanowują starszych. Pokolenie przyszłości jest w ogóle w wielkiem poszanowaniu w Japonii, która jest istnym rajem dla dzieci.

Ad. D.

Kronika działalności kobiecej.

— Kilka znacznych pań mieszkanki naszego miasta zebrało na założenie kasy pożyczkowej dla boni i nauczycielek 2,600 rs., lecz z rozporządzenia rady miejskiej dobroczynności publicznej działalność ta została zawieszona aż do czasu zatwierdzenia ustawy specjalnej tej instytucji.

— Panię poświęcającą się pedagogice przygotowują starannie na Wystawę higieniczną działają swoje. P. Helena Kuczalska urządza gimnastykę wzorową, p. Kellerówna oddział zajęć froeblovskich, p. Leonia Rucka przełożona pensyi żeńskiej „Wzorową klasę“.

— Panię dobrego serca nadesłały na kolonie letnie ofiary pieniężne i w naturze, a to: hr. Ludwika Krasińska 25 rs., Edwardowa Horliczko 25 rs., Henrykowa Natanson 50 rs., Zofia Lepert 10 rs., doktorowa Maykowska 1 rs. kop. 50, Anna Strasburger 5 rs., Zofia Sliwicka 10 rs., Eluchna 3 rs., Jadwiga Wawelberg nadesłała dla kolonii w Ciechocinku 25 koszul dla dziewcząt, 25 par majtek, 25 prześcieradeł, 25 poszewek i 50 fartuszków.

— Szkoła rysunku i malarstwa dla kobiet została otwarta w mieście naszym przez malarza Wincentego Wodzinowskiego.

— Na wystawę Tow. sztuk pięknych nadesłała p. Emilia Dukszyńska „Portret damy“, Marya Kazanowska „Chata za wsią“, „Krówki“, „Bielenie chaty.“ Na wystawę Salonu artystycznego przy Nowym Świecie przybyły Maryi Gażyczowej dwa płótna: „Marychna“ i „Piwonia“, A. Duninówny „W karczmie“, na wystawie Krywulca bardzo piękny krajobraz nadmorskiej okolicy, zmarłej Anny Bilińskiej, uważany przez znawców za dzieło pendzla wyższego znaczenia.

— Szkoła przemysłu artystycznego, prowadzona przez p. Lucynę Kotarbińską, ma liczne grono uczennic a odznaczoną została zaszczytnie przyznaniem jej subwencji ze strony wydziału krajowego.

— P. Józefa Szlezingerówna zamierza urządzić w mieście naszym wspólnie z siostrą, Szlezinger-Kamińską, szkołę śpiewu.

— Zakład gimnastyczny ortopedyczny p. Heleny Kuczalskiej zorganizował jak i lat poprzednich pod kierunkiem doświadczonych przewodniczek w jednym z ogrodów przy ulicy Ujazdowskiej zabawy, będące zarazem ćwiczeniami gimnastycznymi jak gra w piłkę, bieganie do mety i inne tym podobne.

— Jedna z czytelniczek naszego pisma zwróciła się do redakcji z żądaniem, aby prasa odezwała się do publiczności o otwarcie na powiślu Schroniska dla dzieci ubogich rodziców, zmuszonych pracować po za domem dzień cały. Schronisk takich potrzeba jest w różnych miejscowościach miasta i „Kurier Warszawski“ myśl tę podjąwszy dodał, czy nie można by było urządzić schronisk tych przy istniejących już ochronach. Panię dobrego serca powinny by się tem zająć.

— Krakowska Akademia sztuk pięknych otworzy wkrótce oddział dla kobiet. Marya Dulębianka kierować nim będzie, a jest ona uczennicą Ma-

tejki, jedyną z kobiet, która pod kierunkiem jego się kształciła.

— Na wystawie paryskiej sztuk pięknych wystawiony jest w oddziale rzeźby p. Andriolowej „Śpiący Amorek.“ Miejscowe pisma przyznają mu wyższe zalety wdzięku, oraz harmonii w przeprowadzeniu całości.

— Uniwersytet berliński opatrzył wielu przepisami dopuszczenie kobiet na wykłady, potrzebuje ona otrzymać specjalne pozwolenie od ministerium oświaty, oraz od profesorów i docentów, których wykładów pragnie słuchać. Obok tego potrzebuje ona mieć zawsze przy sobie dokument, dający jej tu przystęp a to z uwagi, aby osoby nie posiadające praw słuchaczek wejskać się tu nie mogły.

— Uniwersytet w Oxfordzie odrzucił wniosek udzielenia kobietom tytułu „Bachelière es musique“, co dotknęło bardzo przykro nie tylko osoby interesowane, ale i w ogóle kobiety angielskie. Zasluga jaką daje praca, lub talent, powinna posiadać prawo równości zawsze i wszędzie.

— Wystawa przemysłu domowego w Anglii, urządzona w mieście Leeds, bardzo zainteresowała publiczność, jako przedmiot ważny dobrobytu rodzin. Z wystawą łączyły się bezpłatne lekcje kucharstwa i zdrowia publicznego, te ostatnie dwa razy dziennie.

— Z oddziału włoskiego „Czerwonego krzyża“ udała się do Afryki na pole boju Marya Sarzano, filantropka poświęcająca się w całości sprawom ludzkości. Była ona obecną na polu bitwy pod Aduą i wraz z armią włoską udała się dalej do Adigratu i przebywała w tej fortecy aż do chwili, w której ranni potrzebowali jej opieki. To też pozyskała sobie wielkie uznanie całego narodu.

Z bieżącej chwili.

— Odpust na Woli w dzień S-go Stanisława zgromadził bardzo licznie pobożne tłumy ludzi. Ze dzień ten jest rocznicą imienin Moniuszki w kościele popijarskim przy ulicy Święto-jańskiej odśpiewana była na chórze „Msza piotrowińska.“

— Ponieważ konsekracja kościoła S-go Augustyna przy ulicy Dzielnej ma nastąpić w sierpniu, wykonanie robót wewnątrz świątyni bardzo pośpiesznie się odbywa. Posadzka zostanie ułożona przed końcem czerwca, wielki ołtarz ustawionym będzie z ozdobami prowizorycznymi; kaplica pogrzebowa również wykończoną zostanie.

— Zmarły w Rzymie artysta malarz, Henryk Cieszkowski zostawił po sobie kilkanaście obrazów i szkiców, którymi zajęli się przebywający tam ziomkowie: malarz H. Siemiradzki i rzeźbiarz T. Rygiel, odsyłając je za pośrednictwem War. Towarzystwa sztuk pięknych, uprosili przytem St. Adameczewskiego o zajęcie się ich sprzedażą z celem zebrania funduszu na zakupienie miejsca na grób, gdyż obecnie ciało złożono w grobie cudzym jedynie na czas jakiś.

— Badanie stanu zdrowia dzieci wysyłanych na kolonie letnie do Ciechocinka lub na wieś uznało potrzebę wysłania ich 600. W ubiegłym tygodniu wpłynęło do kasy kolonii na ręce skarbnika, dyrektora Czajewicza ofiary znaczne. Redakcja „Przyjaciela dzieci“ przesłała od Michasia i Mani z Rajówki 1 rs., redakcja „Muchy“ od Józefa Reichera 5 rs., od Józefa Zaremby 5 rs., od adwokata Błaszczewskiego 15 rs., za pośrednictwem redakcji „Przyjaciela dzieci“ od Stasi Sędziak 15 rs., od Mani R.

1 rs., od L. Nr. 2 rs., od Kazimierza Natansona rs. 25, od B. T. 25 rs., od Stanisława hr. Łubińskiego 100 rs., od Jerzego K. 3 rs. Obok tego do magazynu kolonii nadesłano w naturze: fabryka Rytwiangi 135 funtów cukru, fabryka „Ksawera“ 80 funtów krochmalu, I. Poznański 6 sztuk półpłótna, I. Unger adresową książkę Warszawy, Zielńska 2 garnitury półpłóciennie dla chłopców. Bezimiennie przysłano 14 koszulek dziewczęcych, 2 sukienki kretonowe, 8 fartuszków, dwie koszule dla chłopców, 25 bluz płóciennych i tyleż par spodni. Oprócz tego starszy cech rzeźniczego, Leon Lenartowicz i podstarszy cech Karol Pomiński, zobowiązali się zebrać od członków cechu 900 funtów słoniny na potrzeby kolonii.

— Towarzystwo muzyczne urządziło na zakończenie sezonu wieczór, którego program z powodu przypadającej rocznicy imienia Moniuszki, ułożony został z samych utworów genialnego pieśniarza. Orkiestra, chóry, solwa, wytworzyły rzecz bogatą, wykazując jak natchnienie jego zasilane poezją, było niewyczerpanem. W sekcji muzyczno-kościelnej dyrektor Towarzystwa Noskowski zdał relacją z egzaminu uczniów klasy gry na organach, dodając przytem że uczniowie zrobili postęp znaczny w grze i śpiewie. Postanowiono następnie wydać książkę mającą na celu reformę muzyki kościelnej pod tytułem „Rocznik organistów na rok 1897.“ Temata rozdano autorom do opracowania. P. Noskowski przyrzekł wyłożyć sposób uczenia śpiewu, p. Polński napisze życiorys dyrektora, to jest Noskowskiego, jako kompozytora polskiego, ozdobiony jego fotografią. Ktoby prace swoje chciał ofiarować do rocznika potrzebuje je przesłać przed dniem 16 czerwca na ręce redaktora (Radzanów przez Płock) lub do sekretarza sekcji Malinowskiego (Nowy-Swiat, Nr. 41) albo do kancelaryi Towarzystwa muzycznego przy teatrze Rozmaitości.

— Na kolumnie Zygmunta okazała się jeszcze w jesieni rysa, która zdawało się powierzchowną i nie wywierającą wpływu na trwałość pomnika. Obecnie kamieniarze fachowi wydali zdanie przeciwnie, że jestto głębokie pęknięcie, które podczas zimy znacznie się przedłużyło i zapewnie pogłębiło, gdyż ciągnie się od podstawy słupa granitowego od strony Nowego Zjazdu ku górze na długość dwóch łokci i już gołem okiem widzieć to można. Parcie wierzchniej części pomnika w połączeniu z wpływem atmosfery może szerzbę powiększyć a wtedy trzeba by było podstawę zmienić nieodwołalnie. Zapewne inżynierja miejska sprawę tę niezwłocznie zbada i orzeknie co czynić wypada?

— Wydawnictwo dzieł Kochanowskiego podjęte przez prof. Przyborowskiego zostanie ukończone w ciągu bieżącego roku.

— Wystawa umeblowań stylowych została otwarta; nie mieści ona dużo okazów, ale za to dobór ich jest niepospolity i zwiedzający mogą wzrok cieszyć widokiem estetycznie pięknych sprzętów, wykonanych starannie.

— W Poznaniu pamiętają o tem, iż w roku przysłym, w d. 23-im Kwietnia przypada 900 rocznica zamordowania S-go Wojciecha. Katedra gnieźnieńska, w której spoczywają zwłoki Świętego, przygotowuje się do wspaniałego obchodu kościelnego. Oprócz tego obchodzoną będzie niemniej uroczyste dzień ten we wszystkich kościołach archidiecezyi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 2-gi powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Józef Sikorski (Wspomnienie pośmiertne), przez A. Dobrowolskiego.—U domowego ogniska, przez M. I.—Druga wystawa higieniczna w Warszawie, przez Wł. N.—O poranku, przez Maryę Chluską.—Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Szach perski.—Książki dla matek i nauczycielek, przez M. I.—Teatr w Chinach i w Japonii, przez Ad. D.

Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.
Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 2-gi.—Przegląd mód. 39 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie.**—Dyspozycya stołu.